

KONTYNENTY

Opowieści
podróżne

50 3/2026



Ma zawsze przestrzeń na rowerowy reset*



ODPOCZNIJ NA MAZOWSZU

MazO linki

  [mazowsze.serce.polski](https://www.mazowsze.serce.polski)
 [mazowsze.travel](https://www.mazowsze.travel)

* 134 km po Kampinoskim
Szlaku Rowerowym

Opowieści
podróżne

KONTYNENTY

Opowieści
podróżne

50

3/2026

Spis treści

6 SŁOWO WSTĘPNE REDAKTORA NACZELNEGO

WSZECHŚWIAT

12 BARTEK SABELA, GAŚMY ŚWIATŁO

AMERYKA

24 KATARZYNA NIZINKIEWICZ, USA, ARIZONA. MYŚLĄC O ŹRÓDŁACH

44 Tomek i Hanna Kozłowski, Kuba. Pocztówki z cieniem

HISTORIE PODRÓŻNE

94 ALEKSANDRA STANEK, PANAMA, HISZPANIA. LA PEREGRINA – ŁZA MORZA POŁUDNIOWEGO

Azja

114 PAULINA WILK, INDIE, KALKUTA. BĘDZIE PADAŁO

128 EWA JANIĄK, KOREA POŁUDNIOWA, SEUL. WIZYTA W BONGEUN-SA. SZKIC O BUDDYZMIE W KRAJU CICHEGO PORANKA

DOBRA KSIĄŻKA

142 LORENZO TONDO, SPLOTY WOJNY

GALERIA

152 YAN MORVAN, POŁA BITEW

WYCIECZKI OSOBISTE

164 MAREK PERNAL, PODRÓŻE ŚLADAMI GALERO

DOBRA KSIĄŻKA

186 **FRIDTJOF NANSEN**, NIELUDZKA ZIEMIA

AFRYKA

198 **DARIUSZ SKONIECZKO (AAG)**,
DEMOKRATYCZNA REPUBLIKA KONGA.
ROGATY KRÓL Z JĄDRA CIEMNOŚCI

204 **ARUN MILCARZ**, MAURETANIA-ALGIERIA.
JAK NIE ZOSTAŁEM BOHATEREM

228 **ROBERT ROBB MACIĄG**, GABON.
SIEDZĘ W NDJOLÉ I PATRZĘ NA OGOOUÉ

248 **GRZEGORZ KAPLA**, SESZELE.
OKRUCHY GONDWANY

TRAVEL FICTION

272 **WOJCIECH MAZIARSKI**, TURYSTA

POLSKA

296 **DARIUSZ FEDOR, TOMASZ FEDOR**,
ŚCIEŻKI MAZOWIECKIE.
W STRONĘ SIERPCA. ŚCIEŻKA MISTYCZNA



I okładka: Nocne zdjęcie Ziemi wykonano 2 kwietnia 2026 roku w trakcie misji Artemis II ze statku kosmicznego Orion.
IV okładka: The Blue Marble – zdjęcie Ziemi wykonane 7 grudnia 1972 przez załogę Apollo 17 z odległości około 29 000 km. To pierwsze zdjęcie przedstawiające oświetloną Ziemię

Skala

BUDZIŁEM SIĘ PRZED ŚWITEM. STAWAŁEM W OKNIE I CZEKAŁEM NA CHWILĘ, GDY GWIAZDY BLEDNĄ, A NA HORYZONCIE, NA TLE SZARZEJĄCEGO NIEBA, WYRYSUJE SIĘ DELIKATNĄ KRESKĄ ZARYS WZGÓRZ MAREMMY. Zaraz potem zza kreski wyłaniały się kolory: róż, pomarańcz, czerwień, żółć. Płynnie przechodziły jeden w drugi. Może nie w tej kolejności, nieważne. Pierwszy, blady jeszcze błękit był znakiem, że już czas – że mogę zejść z chatki pod etruskim i rzymskim murem Saturnii w dolinę, w cichy zakątek za starym młynem. Molino del Bagno.

Poranne mgły kładły się na polach, długi mój cień szedł rażno u mego prawego boku. O tej porze w siarkowych termach Saturnii nie było tłumów. Mogłem wybrać dogodne

miejsce, najwygodniejszą nieckę wyżłobioną w trawertynie przez wody Gorello – strumienia spływającego z tarasu na taras. Bezustannie, od tysięcy lat. Siadałem w jego mlecznej, miękkiej i ciepłej wodzie o delikatnym zapachu siarki, wsłuchiwałem się w huk wodospadu. Lubilem wyobrażać sobie kapiących się tu – jak ja – ludzi sprzed stu, dwustu, tysiąca, tysięcy lat. Proch istnień rozwiewany wiatrem czasu w niezmiennym teatrze wody i kamienia. Toskańczycy, Rzymianie, Etruskowie. Lubilem patrzeć na dochodzących po mnie turystów z różnych stron świata. Włosi – młodzi rodzice z dzieckiem w niecce pode mną. Zakochana blond para z boku, pod okapem z trzciny. Pięć steranych życiem Chinek, które sznurkiem, jak zakonnice z filmów Felliniego, wchodziły do wody, a potem moszczą się pod kaskadą nade mną. Starsi państwo z Niemiec, którym zaparowały okulary. Dziewczyna, która stoi na skalnym progu i kogoś wypatruje. Kobieta, która ostrożnie stąpa po śliskich kamieniach, prowadząc za rękę staruszkę.

Podnosiłem z dna kamyki, jakich nie widziałem wcześniej nigdzie: wielkości mirabelek, czasem grochu, idealnie okrągłe albo owalne, całkiem białe i zielono nakrapiane. Przyjemnie chropowate. Utocone przez wody strumienia, z pozoru kruche i delikatne, w istocie trwające tu, odwieczne. Przesypywałem je w dłoniach, kładłem na głowie i pozwalałem, by turlały mi się po twarzy. Rzucałem na skraj mojej niecki, starając się następnym trafić w ślad poprzedniego. Niknący ślad na wodzie.

Gdy słońce wyglądało zza starego młyna, odczytywałem ten znak: czas kończyć poranne ablucje i kontemplacje. Czas ustąpić miejsca tym, którzy szum wody i trzciny zagłuszą gwarem naszym powszednim.

Wracałem do chatki na skraju Saturnii, pod skałą, na której Etruskowie ułożyli mur, na którym Rzymianie ułożyli mur, na którym czas zrobił swoje. A potem jechałem przyglądać się z bliska temu, co o świecie widziałem z daleka: wzgórzom Maremmy, z których każde miało swoje miasteczko.

Montemerano z kościołem św. Jerzego słynącym Madonną Kociej Dziury – dzięki księdzu, który w świętym obrazie kazał wyciąć krągły otwór, by jego ulubieniec nie musiał nadkładać drogi. I z XV-wiecznym freskiem przedstawiającym Sąd Ostateczny, na którym Szatan połyka i wydala potępionych, a diabły ich torturują.

Pitigliano – miasto usadowione przed wiekami na wulkanicznym urwisku, ze strzelistymi kamienicami nad przepaścią. Podziwiałem drogi wykute przez Etrusków głęboko w tufie. I schowaną w głębi miękkiej skały dużą część dawnej dzielnicy żydowskiej, od której Pitigliano zwano Małą Jerozolimą. Przechodzi się z pomieszczenia do pomieszczenia, nie wracając na powierzchnię: tu mykwa, tu rzeźnia, tu piwnica z winami, tu farbiarnia, tu piec do macy... Niemal słysząc, jak w połączonych skalnymi tunelami kamiennych izbach przenikają się: śpiew kantora z pobliskiej synagogi i klekot glinianych stągwi

na koszerne wino; beczenie baranów prowadzonych do rzeźni i szum wody w rytualnej łaźni; chóralne, chłopięce recytacje Tory i śpiew kobiet w pralni. Tak, to jest Mała Jerozolima. Maleńka, cicha Sovana z jej onieśmielającą romańskim mistycyzmem katedrą świętych Piotra i Pawła – dziwną, bo nie w centrum, lecz na skraju miejscowości wybudowaną. Pewnie do niej jako chłopiec biegał urodzony tu Hildebrand, znany później jako papież Grzegorz VII – ten od XI-wiecznego sporu ze słynną kulminacją: upokorzeniem cesarza Henryka IV w Canossie. Czy to coś znaczy, że w tym właśnie przybytku wypatrzyłem fresk Tron Łaski z XVI wieku? Rzadkie przedstawienie Boga Ojca podtrzymującego Syna przybitego do krzyża, z Duchem św. w postaci gołębicy nad głową? Tak samo z XVI wieku pochodzi rzeźba *Tron Łaski* w kościółku w Sierpcu, do którego trafiłem miesiąc wcześniej. Dwa przypadki. Przypadki? W centrum Sovany stoi też kościół mniejszy, który nosi miano – jak pięknie! – Santa Maria Maggiore, Najświętszej Maryi Panny Większej. Pomonte – o, tam długo błądziłem wzrokiem po malowniczych winnicach rozdzielanych cyprysami na łagodnych wzgórzach.

I Manciano. Stamtąd, gdy się wejdzie w dzień pogodny na najwyższy zamkowy taras i wyteży wzrok, ogląda się w dali morze. Ten dzień był pochmurny i choć bardzo chciałem, morza nie wypatrzyłem. Obróciłem się ku ścianie i ujrzałem na niej zawieszoną zbyt wysoko, by uznać to za atrakcję turystyczną, kamienną tabliczkę. Z jakże

włoskim wyznaniem: *Ti amo Maremma, /fin dove al mar ti sposi/e ti vesti di tramonti*. Kocham cię, Maremmo/aż po brzeg, gdzie poślubiasz morze/i stroisz się w zachody słońca.

Pierwsze krople deszczu spadły na rozgrzany kamień i zaraz wyparowały.

W tym jubileuszowym, 50. numerze „Kontynentów” będziemy bawić się skalą – zmieniając odległości, czasy, punkty widzenia i sposoby myślenia. Wyprawimy się tak daleko, jak jeszcze nigdy: do głębin wszechświata, do mgławic, by przyjrzyć się temu, co na niebie widzimy jako okruchy. Opowiemy historię okruchów po Gondwanie, kontynencie, którego już nie ma, a który pozostawił ślad w postaci Seszeli. Prześledzimy dzieje jednej łzy – La Peregriny, perły Morza Południowego, która z terenów dzisiejszej Panamy przywędrowała do Hiszpanii. W kościołach Starego i Nowego Świata wypatrywać będziemy drobiazgu: galero, kardynalskiego kapelusza o jakże ciekawej symbolice. Poszukamy cieni na słonecznych pocztówkach z Kuby. Przewędrujemy Arizone, Mauretanię, Algierię i Gabon. Zanurzymy się w ciszy buddyjskiej świątyni w Seulu, a w Kalkucie w Indiach czekać będziemy na deszcz i nowe czasy. Z Nansenem ruszymy – po niehumanitarnej ziemi – w morderczą wyprawę ku biegunowi północnemu. A z zabłąkanym turystą – wejdziemy w niepokojący, dystopijny świat, w którym nie ma już wolności podróżowania.

Oddamy głos reporterowi, który odkrywa, jakie straszliwe sploty łączą w jedno współczesne wojny – w Ukrainie, Syrii, Palestynie. I wejdziemy na puste pola bitew minionych.

Chodź z nami.

DARIUSZ FEDOR

REDAKTOR NACZELNY



Tak Kosmos mówił w urodziny mojego synka, 26 kwietnia, między 3 a 4 rano, na skraju Triglavskiego Parku Narodowego. Mówił, a ja słuchałem

Gaśmy światło

Tekst i zdjęcia:
Bartek Sabela

Noc to moja ucieczka, mój azyl pełen ciszy i spokoju. Nocą jadę na pole za miastem i celuję moje teleskopowe oko w czarną otchłań. I czuję się jak średniowieczny astronom z ryciny w książce Camille'a Flammariona, który właśnie doszedł do krańców świata i nieśmiało wystawia głowę poza niebiańskie sklepienie, by w zachwycie i strachu spojrzeć na kosmiczną maszynę

– **TYLKO ŻE JA NIE MAM TEMATÓW, DARKU.** Ostatnią podróż reporterską odbyłem trzy lata temu. Ostatni tekst napisałem dwa lata temu – tłumaczę się, odpowiadając na powracające pytanie Naczelnego „Kontynentów”.

– Wiesz, czasami nie trzeba nawet ruszać się z miejsca, by odbyć podróż – zachęca Naczelną.

– Ja chyba tak nie potrafię. Muszę widzieć, doświadczać, smakować inną rzeczywistość. Wtedy dopiero w mojej głowie powstają słowa. Inaczej pustka. W fikcję nie umiem.

Poza tym, by pisać, potrzebuję warunków wręcz laboratoryjnych. Zamykam wszystkie okna, by nie było słychać szumu ulicy. Sprzątam mieszkanie, by nie rozpraszały mnie przedmioty. Wyłączam telefon, by nie kusił tanią dawką dopaminy. Robię kawę – to akurat rytuał bez praktycznego wytłumaczenia. Zakładam na uszy budowlane słuchawki wyciszające, by mi nie uciekały myśli. I czekam na okno pogodowe jak himalaista przed atakiem szczytowym. To okno to bycie samemu w mieszkaniu. Warunki prawie nieosiągalne z dwójką małych dzieci.



Mgławica Motyl w konstelacji Łabędzia. 2500-5000 lat świetlnych od Ziemi. Jasna gwiazda pośrodku to nadolbrzym Sadr (Gamma Cygni) 15 razy masywniejszy i 60 tysięcy razy jaśniejszy niż Słońce

– Więc nie bardzo mam o czym, Darku, wybaczyć. Chyba że chcesz kosmos, bo tam ostatnio sporo czasu spędzam.

– Tak daleko tośmy jeszcze w „Kontynentach” nie byli. Bartku, wyprowadź nas w kosmos! A nawet w Kosmos!

Noc to moja ucieczka, mój azyl pełen ciszy i spokoju. Moja podróż w nieznane, bez ruszania się z domu. No, prawie bez ruszania. Od miesięcy mam obsesję. Kompulsywnie sprawdzam prognozę pogody. Koniunkcja bezchmurnego nieba, Księżyc w nowiu oraz możliwości czasowych to w codziennej logistyce domowo-zawodowej jak szóstka w totolotka. Gdy jednak się trafia, jadę na pole za miastem i celuję moje teleskopowe oko w czarną otchłań. Czuję się jak średniowieczny astronom z ryciny w książce Camille’a Flammariona, który właśnie doszedł do krańców świata i nieśmiało wystawia głowę poza niebiańskie sklepienie, by w zachwycie i strachu spojrzeć na kosmiczną maszynę.

Zanurzam się w noc, ruszam na spotkanie, które za każdym razem prowadzi mnie w nieoczekiwane Kosmosu strony. Znam te kształty, te nazwy, te barwy, rozpoznaję punkty i geometrię. Widziałem je wcześniej w książkach, niektóre – na przykład taką mgławicę Koński Łeb w Orionie – pamiętam jeszcze z jednego z albumów, które miałem w dzieciństwie. A jednak dopiero gdy po wielu godzinach naświetlania łapię ją własnym teleskopem, nabiera materialnego wymiaru. Faktycznie tam jest. Jest prawdziwa.



Mgławica Trąba Słonia. 3000 lat świetlnych od Ziemi w gwiazdozborze Cefeusza, męża pobliskiej Kasjopei i ojca Andromedy. Etiopia to bodaj jedyny kraj Afryki, który ma swoich przedstawicieli w Kosmosie. W dolnej części świeci gwiazda Mu Cephei, czerwony nadolbrzym. Gdyby znajdowała się w centrum naszego Układu Słonecznego, jej zewnętrzne warstwy sięgałyby Jowisza

Astrofotografia – paradoksalnie – ma w sobie coś z fotografii analogowej. Wymaga ogromnej cierpliwości i nie daje natychmiastowego efektu. Nagroda – jeśli będzie – jest odroczone w czasie i niepewna. Gołym okiem nie widzę przecież obiektów, które fotografuję. Nie widać ich często nawet na pojedynczej klatce po kilku minutach naświetlania. W niebo celuję, kierując się współrzędnymi. Sygnał z odległych przestrzeni Kosmosu jest niezwykle słaby. Dopiero gdy dziesiątki, czasami setki klatek złożę w jeden obraz, multiplikując sygnał, z płaskiej czerni zaczyna się wyłaniać fragment Wszechświata z całą głębią i bogactwem. Gdybyśmy widzieli nocne niebo tak, jak widzą je teleskop i kamera, okazałoby się, że wcale nie jest czarne. To tylko niedoskonałość naszego oka. W rzeczywistości to feeria barwnych plam jak z najlepszych obrazów ekspresjonistów. Czerwień to zjonizowany wodór – najpowszechniejszy pierwiastek w Kosmosie. Błękit to podwójnie zjonizowany tlen. Kolor żółty dają zjonizowane atomy siarki. Wszystkie świecą dzięki promieniowaniu ultrafioletowemu pobliskich gwiazd.

Noc stała się moją ulubioną porą dnia. Stoję na tym polu godzinami i łapię fotony, które wyruszyły w drogę tysiące lub miliony lat temu i teraz akurat – cóż za kosmiczny zbieg okoliczności – trafiają wprost do mojego teleskopu. Kosmiczna wiadomość w butelce, podróż w czasie w dosłownym znaczeniu. To, co fotografuję, to przecież zamierzchła przeszłość. Mgławica Ameryka



Mgławica Serce w gwiazdozbiorze
Kasjopei, 7500 lat świetlnych od
Ziemi i około 200 lat świetlnych
średnicy. Jej dolna część to
mgławica Rybia Głowa

Północna, 2000 lat świetlnych od nas. Fotony ruszyły w drogę do mojego teleskopu mniej więcej wtedy, gdy na Bliskim Wschodzie ukrzyżowano pewnego człowieka (co, jak się okaże, będzie miało kolosalne skutki dla Ziemi). Mgławica Trąba Słonia, 3000 lat świetlnych – na Ziemi kończy się epoka brązu, ludzie odkrywają żelazo (tym żelazem będą się potem głównie zabijać). Mgławica Serce (spokojnie, tuż obok jest również Dusza, Kosmos dba o równowagę), 7500 lat świetlnych od nas – na Ziemi trwa środkowy neolit, a ludzie uczą się, że z ziarna wsadzonego do ziemi może wyrosnąć jedzenie (jak się dowiemy później, niedostępne dla wszystkich). Ale czy ten ziemski prozaiczny kontekst ma jakiegokolwiek znaczenie dla Kosmosu? Żadne. Znacznie ważniejsze (dla mnie również) jest to, że mgławice to kosmiczne żłobki. Tam, z gigantycznych obłoków wodoru, rodzą się gwiazdy i całe nowe układy planetarne. Całe nowe światy, na których, jeśli chemia i fizyka będą sprzyjać, może pojawi się życie.

Siedem tysięcy pięćset lat świetlnych od nas – powtarzam sobie w myślach, gdy zbieram kolejne klatki materiału pewnej czerwcowej, krótkiej nocy. W skali Kosmosu rzut beretem. A potem przypominam sobie, że sonda Voyager 1 wystrzelona 5 września 1977 roku przez blisko 50 lat uleciała raptem jeden dzień świetlny od Ziemi. Jeden dzień.

Myślę, że ciemne niebo powinno być prawem człowieka. Z miast ledwo widać najjaśniejsze gwiazdy, ale nawet



Mgławica Ameryka Północna
oraz sąsiadująca z nią mgławica
Pelikan (choćbym nie wiem jak się
starał, to pelikana tam akurat nie
dostrzegam). 2000 lat świetlnych od
nas w gwiazdozbiórze Łabędzia

na wsiach trudno dostrzec choćby Drogę Mleczną. Świat zalany żółtym sodowym światłem. Niebo wolne od świetlnego zanieczyszczenia stało się towarem luksusowym, niedostępnym dla większości ludzi (polecam zerknąć na dostępną w Internecie mapę *light pollution*). Idę o zakład, że gdyby ludzie częściej patrzyli w niebo, świat byłby po prostu lepszy. Nad nami rozciąga się nieskończenie wielka porcja wszelkiego panaceum: mgławice relanium, obłoki melisy, gromady otwarte CBD, czy czego tam kto potrzebuje. Spojrzenie w Kosmos przywraca właściwą hierarchię bytów, przypomina, gdzie i kim jesteśmy. Daje ukojenie, spokój i – najważniejsze – poczucie jedności. Jest wspa-
niałe właśnie dlatego, że takie banalne.

Oświeciliśmy sobie świat miliardami żarówek, ledów, jarzeńówek, neonów, zasłaniając to najwspanialsze, co mamy nad sobą. Panicznie obawiamy się globalnego blackoutu. Tymczasem ja widzę w nim nadzieję.

Bartek Sabela

Reporter, fotograf, związany z „Kontynentami” od 2014 roku. Autor m.in. *Może (morze) wróci*, *Wszystkich ziaren piasku*, *Afronautów i Wędrówki tusz*. W 2018 roku otrzymał Próg – nagrodę „Kontynentów”, przyznaną „za przekroczenie granicy, która dzieli to, co jest jeszcze relacją z podróży, od tego, co już jest literaturą podróżną”. Później został także laureatem Grand Press za Książkę Reporterską Roku 2023 oraz Nagrody PAP im. Ryszarda Kapuścińskiego.





Podróż nabiera znaczenia

Wyprawy kulturowe • Fotoekspedycje
Wyprawy rodzinne • Wyprawy rozwojowe
Wyprawy incentive • Wyprawy szyte na miarę

www.soultravel.pl



Arizona.

Myśląc o źródłach

Tekst i zdjęcia:

Katarzyna Nizinkiewicz



Słońce zaszło nad pasmem poszarpanych gór. Wschodząc, pomalowało różem wzgórze, którymi tu przyszedłam. Zeszłam w gęszcz kwitnący żółto i czerwono, pomiędzy łany łubinu

TABLICZKA OZNAJMIAŁA, ŻE WKRAČAM NA TEREN BUREAU OF LAND MANAGEMENT (czyli federalny, gdzie wolno łązić i biwakować). Spod mazów ze sprayu wylazły fragmenty ostrzeżeń – pogranicze... nielegalni... podejrzeni. Zgłoś policji... Na przełęczy drogę zagroził mi szlaban, ścieżka wspięła się w kierunku strzelistych skał. Pod nimi siedziała rodzina z dziećmi. Tak jak ja szukała dojścia do źródła, z tym że oni tylko z ciekawości. Przyjechali samochodem, zaraz wracali. Wodę znalazłam ja, a raczej moja nawigacja. To była w zasadzie kałuża, mokra plama. Kiedyś mieszkali tu ludzie. Zostały ruiny chatki i petroglify. Większość obejrzałam dopiero rano. Na jednym ktoś podpisał się „Ch” w 1864 roku.

O zmierzchu rozhukały się sowy.

Słońce weszło w szczelinie pomiędzy turniami. Przyszedł upał. Przed południem trafiłam na niezaznaczoną na mapie chatkę. Potem minęły mnie terenowe samochody. Odbiłam z drogi, zanim osiadł wzbity przez nie kurz. Ślad ścieżki zgubił się w gęszczu kaktusów i zanim się zorientowałam, że biegnie potokiem, troszkę kluczyłam. Strumień był suchy, pozarastany chaszczami. Sporo z nich kwitło, pachniało. W zakolu kamiennego koryta znalazłam wodę. Kilkadziesiąt metrów

niżej wypatrzyłam kozi ślad, który wspinał się na górę kanionu. To była porzucona kopalnia. Płaski piach (idealny pod namiot), kilka bardzo głębokich szybów, resztki pozostawione przez górników dawno temu. Słońce zaszło nad pasmem poszarpanych gór. Wschodząc, pomalowało różem wzgórze, którymi tu przyszedłam. Zeszłam w gąszcz kwitnący żółto i czerwono, pomiędzy łany łubinu. Strumień już do końca był suchy, w jedynej kałuży, co uchowała się w skałach, ktoś (może kojot?) zrobił kupę – być może oznaczało to rezerwację. Wszędzie widziałam ślady zwierząt, odciski stóp i odchody, podejrzywałam, że mnie obserwują, ale nie widziałam ich i nie słyszałam. Nie bały się mnie tylko ptaki. Tak głośne, że bolały uszy.

Po południu znalazłam jedyny kopczyk, znaczył wyjście z kanionu.

Pustynia była płaska, prawie bez roślinności. Usiadłam na skraju drogi i jak na zamówienie pojawił się mężczyzna w pickupie. Zajmował się monitorowaniem rurociągu zakopanego pod Pipeline Road. Patrzyłam, jak polewa grunt i przykłada do niego przyrząd z miernikiem.

– Ile masz wody? – zagadnął. – Proszę, weź dwie butelki. Jaką masz mapę? Nie masz? Idź do Palm Canyon, prosto na południe wzdłuż tych gór, po drodze trafisz na źródło, widzisz wiatrak? Nie widzisz? Zobaczysz, jak będziesz bliżej. Na jakiej jesteś diecie, bo ja bez cukru. Bez glutenu? To, proszę, weź orzechy i suszone owoce. Ktoś



wie, gdzie jesteś? Podaj telefon, jak stąd wyjadę i złapię sieć, to zadzwonię.

Odchodząc, gniołłam w kieszonce wizytówkę z adresem i telefonem, na wypadek gdybym gdzieś tu utknęła.

To miejsce nazywało się Livingston Well. I w zasadzie tylko dlatego tu przyszłam. Myśl o „źródłach” generowała w moim umyśle szum krystalicznej wody. Zapomniałam, że to Arizona i na teren prywatny się nie wchodzi.

– Nazywa się Ron – mówił Terry od rurociągu – i, hmm... tak... prawdopodobnie dałby ci wody, ale niedaleko masz źródło Scott Well, idź po prostu drogą i trafisz.

Dróg było kilka i zanim zobaczyłam wiatrak, natknęłam się na zakaz wchodzenia. Tablica stała z pół kilometra od domu i dosłownie krzyczała: „Nie zbliżać się!”. Posłusznie zawróciłam. Wiatrak ledwo wystawał z koryta strumienia. Turbina pompowała wodę do zamkniętego zbiornika. Nie było kranu. Nie od razu znalazłam wodopój dla dzikich zwierząt. Trawiastozielony betonowy stawek. Na murku leżała kupa kojota i resztki kostek. Wypełniłam wszystkie butelki. Ponad pięć litrów. Plecak zrobił się obrzydliwie ciężki. Do Palm Canyon było 32 mile. Oceniłam, że to może zająć dwa dni, ale droga kręciła, a teren był łatwy, choć zarośnięty, więc odbiłam w kaktusy i zaraz (patrząc w ekran zamiast pod nogi) runęłam na piach, wrywając sobie dziurę w kolanie. Hmm... Jakby duch, który mnie prowadził, warknął: „Nie tu!”.

Posłusznie przeszłam jeszcze z milę po śladzie kół i spróbowałam kolejny raz. Teraz lepiej. Szłam wzdłuż gór, co i rusz trafiałam na suche koryta potoków. Zwykle prędzej czy później zarastał je gąszcz, więc szukałam wyjścia i znów lawirowałam wśród kaktusów. Po prawej ciągnęła się płaska pustynia, po lewej piętrzyły się wspaniałe góry. Słońce opadało, światło żółkło, minęłam przełączkę i siadłam odpocząć. Pustynia wydawała się bezludna, nietknięta ludzką ręką czy stopą. Nie było sieci i pomyślałam, że można by tu utknąć i nikt by mnie nigdy nie znalazł... Coś uwierało mnie w tyłek, więc go uniosłam i kamień, na którym siedziałam, okazał się zardzewiałą łopatą. Niemal czułam, jak mój opiekuńczy duch chichocze.

Kofa¹ National Wildlife Refuge utworzono w latach trzydziestych XX wieku dla ochrony największej na południowym zachodzie populacji owiec gruborogich.

Wcześniej były tu liczne kopalnie, niektóre przetrwały do dzisiaj. Jeśli wpatrywałam się uważnie w skały, widziałam miejsca wykute ludzką ręką, czasem trafiał się też ślad kół, nie wiem, jak stary. Idąc nim, czułam się rażniej, chociaż znikał zaraz. Rozbiłam namiot na płaskiej połaci piachu. Zachód ozłocił dolinę i mur postrzępionych turni. Po zmroku niebo zaczerwieniło się jeszcze raz, odbijając

¹ Kofa – słowo to wywodzi się od nazwy kopalni King of Arizona – z pierwszych liter powstał skrót KOFA – red.

resztkę dalekiej łuny. Noc była zimna i wietrzna, świt pastelowy. Z biegiem dnia niebo szarzało.

Jeszcze zanim dotarłam do Palm Canyon, znalazłam kilka sporych kałuż. Pomyślałam, że mogę tu wrócić na noc, w razie gdybym nie trafiła na żaden zbiornik. Bo chociaż Terry obiecywał, że jest tu wszystko: i sieć telefoniczna, i woda, mapa widziała tylko toaletę.

Wiało, temperatura spadła, zaczęło siąpić. Parking był pusty. Szlak do Palm Canyon – jak wyczytałam wcześniej, jedyny znakowany w tych górach – króciutki. Wyznaczone przy nim pole biwakowe – pochylone. Nie było wody. Ruszyłam w górę kanionu (może tam lepiej?). Dotarłam do połowy. Za mną mgła łąpczywie pochłaniała pustynię, przede mną piętrzyło się rumowisko. Mżyło. Zostawiłam plecak w małej grocie i podeszłam jeszcze trochę wyżej. Spotkałam dwóch schodzących Holendrów, zostawili mi resztkę w butelce, niewiele, niecałe pół litra. Deszcz narastał.

Z mojej groty był widok na słynne palmy. Plamę wymęczonej zieleni wciśniętą w bardzo stromy żleb.

Nakręciłam palnik i przegotowałam prezent od Holendrów, tak bezpiecznie. „I co teraz?” – myślałam.

Deszcz osłabł, więc wyszłam i zaraz zmarzłam i zmołam. W jednej z kałuż stał kempingowy samochód. Zapukałam, żeby spytać o mapę. Para rowerzystów z Arizony, oboje na emeryturze. Mieli atlas i parkową ulotkę z Yumy. Przejechali już północno-wschodnią część





rezerwatu, powiedzieli mi, gdzie widzieli wodę. W ich samochodzie było sucho i ciepło. Wybierali się na biwak blisko miejsca, gdzie nocowałam wczoraj. Zostałam z nimi.

Deszcz narastał, chmury opadały. Zamglona, zszarzała pustynia wyglądała fantastycznie. Jak rysunek z pejzażem wymyślonego świata. Parking był pusty, ale zalany, rozmiękły i musiałam odejść, żeby znaleźć miejsce pod namiot. Zanim go postawiłam, przemokłam do bielizny i zostało mi tylko wleźć do śpiwora. Miałam sieć, słabą, ale czasem działała. Prognoza była paskudna. Deszcz przez dobę. Spałam, czasem coś ugotowałam, aż do





wieczora nic się nie zmieniło, a kiedy obudziłam się po północy (bo zmarzłam), na graniach białą świeży śnieg. Kiedy się obudziłam kolejny raz, leżał też na namiocie. Warstwa musiała być gruba, bo tropik osiadł i wewnątrz było bardzo ciasno. Strząsnęłam, podstawiałam garnek i miseczkę (niech łapią wodę) i znów się obudziłam przed świtem. Niebo różowiało, już miałam nadzieję, że to koniec, ale skąd... Padało do dziesiątej. Śnieg z deszczem, potem już tylko deszcz. Biel utrzymała się w cieniu i na szczytach. Chmury znikły. Ziemia parowała, światło sączyło się przez lekką mgłę. Wyszłam późno, zaopatrzona w wodę i zapas wspaniałego jedzenia od rowerzystów.

Wiedziałam, że śnieg zasili źródła, że może nawet pojawiają się potoki. I rzeczywiście, na jeden trafiłam. Wokół

biało, ale byłam brudna, rozebrałam się i się porządnie umyłam. Nieco dalej skończyła się jezdna droga, mapa poprowadziła mnie stromizną przez gąszcz. W kałużach pluskały się ptaki.

Nocą był mróz, przed świtem zawyły kojoty. W powietrzu wilgoć, na namiocie, na roślinach wyrosła szadź. Zamarzła mi też woda w butelce, filtr na szczęście schowałam w ściworze, a rano długo, na wszelki wypadek, nosiłam go w rękawie. Szłam drogami i raz minęła mnie kawalkada quadów. Zwolnili, zagadali, proponowali wodę, podziękowałam. Do chatki dotarłam wcześniej i zostałam. Miałam sporo rzeczy do suszenia, poza tym było tam bardzo wygodnie. Do wody niecały kilometr, poprzednicy nawieźli mnóstwo zapasów i chociaż nie było otwieracza, udało mi się otworzyć jedną puszkę. Dżem ze słodkich ziemniaków!

Kofa Cabin powstała w latach trzydziestych XX wieku, kiedy ustanowiono rezerwat, a grupa młodych ludzi z lokalnych plemion pracowała przy budowie zbiorników, które miały zatrzymać wodę dla dzikich zwierząt. Domek zachował się w niezmienionym stanie, surowy, kamienny z pojedynczym żelaznym łóżkiem. Wieczorem rozpałałam przed nim ognisko z patyczków uzbieranych na parkingu. Tutejsze drewno było ciężkie, żywiczne. Dym pachniał inaczej niż nasz, wręcz nieprzyjemnie, jakbym dodała asfaltu. I tak musiały pachnieć biwaki na Dzikim Zachodzie, kowbojskie obozowiska, piecyki pionierów. Obco.

Do kolejnej chatki było 34 kilometry, sporo przy krótkim zimowym dniu. Zamiast drogą wyruszyłam na wprost przez góry, celując w najbliższą studnię (wiatrak). I trafiłam. Gęste od kwitnących zarośli koryta strumieni, płaty kamienistej pustyni usiane kryształami kwarcu, niskie góry z dalekim zamglonym widokiem. Poczułam się rozczarowana, kiedy wyszłam na drogę. I kolejny raz po południu, kiedy mapka (ulotka, którą dostałam od rowerzystów) pokazała wodopój tak nieprecyzyjnie, że wystraszyłam się, że już go minęłam.

Jak na zamówienie zobaczyłam dym z ogniska, a kiedy podeszłam bliżej – namioty i mężczyzn, którzy minęli mnie wczoraj. Dostałam wodę i cztery energetyczne batony. A wodopoju wcale nie zgubiłam, był przy chatce. Hoodoo Cabin zbudowano w latach czterdziestych XX wieku dla kowbojów sprawdzających ogrodzenia dla krów.

W dobudówce była łazienka z prysznicem, odłączona jednak od wody, podobnie nieczynna była kuchnia (węglowa lub może na drewno). Zamiotłam, bo było tam sporo kurzu, nakryłam łóżko namiotem (zawsze tak robię) i poczułam się jak w Hiltonie. Tym bardziej że szafka na jedzenie była pełna i mogłam coś zjeść bez wyrzutów sumienia. Przeliczyłam prowiant i wyszło mi, że mogę sobie pozwolić na jeden leniwy dzień. Spałam, czytałam książkę, piłam herbatę ze słodkim (niezdrowym) syropem, poszłam na spacer, rozpałałam ognisko.

Tuż przed nocą odwiedził mnie zdziwiony rowerzysta. Oczy jak denka od słoików... Biegał nerwowo po kuchni, widziałam, jak ukradkiem zjadł jeden z zostawionych obok książek cukierków, ale kiedy go zagadnęłam, czy nie jest głodny, uciekł, chociaż proponowałam, że się przesunę i zrobię miejsce. Amerykańskie chatki są dostępne na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy” i być może nie wypadało się narzucać.

Koryto potoku wyprowadziło mnie na otwarty teren przed murem skalistych gór. Po drodze minęłam studnię z wiatrakiem. Chatka mnie rozczarowała. Myślałam, że spędzę w niej kolejny dzień... Bo czemu nie, ale nie tak ją sobie wyobrażałam. Wilbanks Cabin postawiła rodzina osadników. Dotarli tu wiosną 1931 roku, pustynia kwitła, wokół było mnóstwo zieleni, więc zostali i udało im się wytrzymać kilka lat. Przyszedł kryzys, susza, w 1934 dom spłonął wraz z całym dobytkiem, pomimo tego nie poddali się i go odbudowali. I taki właśnie lichy i biedny zostawili i można w nim spać. Nie sądzę, żeby ktoś to robił. Podłogi, ściany, rachityczne półki i szafki zarósł kurz, przysypały warstwy mysich odchodów. Zajrzałam i uciekłam. W obu Amerykach gryzonie roznoszą groźne hantawirusy, unikam słabo wentylowanych wnętrz i chociaż w tym hulał wiatr, i tak mnie nie kusiło. Zresztą było dopiero popołudnie. Napełniłam butelki i ruszyłam w stronę Kofa Dam.

Teren był stromy, skalisty, pozarastany, więc szłam graniami. To nie są wysokie góry, najwyższe sięgają lekko

ponad tysiąc czterysta metrów, ale na pustyni gubi się skała i czułam się jak w Dolomitach. Prawie... Dużo było kluczenia wśród kaktusów i zachodu z przecinaniem suchych potoków o stromych, a wysokich brzegach. Piaszczystych, skalistych. Szukałam miejsc, którymi chodzą zwierzęta. Wypatrywałam bobków, jakby to były szlakowe znaki. Za przełęczą przeszłam pod murem wyszlifowanych skał, z grotami, w których można by przenocować, i zesłam suchym potokiem. Teren wypłaszczył się, otworzyły się dalsze widoki. Znalazłam drogę prowadzącą do Yaqui Tanks, ale nie udało mi się dotrzeć do zbiornika.

Ściemniło się, wszędzie było kusząco płasko, bez kaktusów, i wszędzie pod cienką warstwą piasku dźwięczała skała i nie utrzymał się ani jeden ślédź. Zesłam na piach. Zachód był bury. Już się ściemniło, kiedy odbłask rozjaśnił chmury od spodu. Dramatycznie, jaskrawo. Ranek słoneczny. Woda w zbiorniku zielona, nieprzezroczysta i gęsta. Koryto strumienia wąskie i ciasne. Wspinając się po skałach, upadłam i trafiłam w coś twardego obiektywem. Nie zauważyłam, że stłukł się filtr i kilka zdjęć się zmarnowało – wyszły odbłaski. Rozejrzałam się za to dokładnie i znalazłam kopczyk. Jedyny i bardzo ważny. Wyjście z kanionu. Na górze łatwiej. Nie było ścieżki, ale widziałam ślady ludzi. Śmieć, odbity w piachu but. Były też bobki i zejście do tamy. Zbiornik był pusty. Za szczytem wypatrzyłam zlepki niechlujnych baraków, sterty ziemi. Nie wyglądało to na przemysłowe wydobywanie, raczej



na biwaki poszukiwaczy skarbów, ale nie podchodziłam bliżej. Znaki zakazywały wstępu, pozwolono tylko na przejazd (czy przejście?) główną drogą. Był upał, przede mną 20 mil płaskiej pustyni. Pognałam i po pięciu godzinach odetchnęłam po drugiej stronie.

Ślad kół odbił od kamienistej „szosy”. Teren wznosił się, kwitły srebrzystolistne krzewy, opuncje były już całe



w pąkach. Słońce opadało. Zatrzymałam się przy kręgu na ognisko. Ktoś zostawił zapas szczapek dla następców, dla mnie. Byłam wdzięczna.

Ognisko grzało. Szczyty pokrył malinowy róż, a na niebie pojawiło się coś dziwnego. Owalny, ciemny kształt... Początkowo wzięłam go za wieżę czy maszt. Poligon wojskowy Yuma Proving Ground był bardzo blisko, myślałam, że to lotnisko czy radar. Rano przyszło mi do głowy, że może osławiony chiński szpiegowski balon.

Teraz widziałam, że jest obły, biały i zdecydowanie niezamocowany do podłoża. Kiedy ruszyłam, drgnął i aż do nocy wisiał kilkaset metrów nade mną. A góry rosły. Znalazłam wiatrową studnię, minęłam grań.

Lubiłam te bezszlakowe fragmenty, niepewność, poszukiwania, nawet odczepianie od kijków i butów upiornych kulek kaktusów cholla, które lepiły się do mnie